

*Monika Sokół*

## **Dobra Nowina**

Marcin wstał rano z bólem głowy. Z obrzydzeniem pomyślał, że musi iść do pracy - miejsca samym swoim istnieniem przeczącemu zdrowemu rozsądkowi. Znów będzie siedział przed komputerem i oddawał się zajęciom, których serdecznie nienawidził, po to, by wypełniać nałożone na niego oczekiwania - jesteś dorosły, to pracuj, bo inaczej jesteś nikim, zwykłym pasożytem na łonie święcie oburzonego twoim nieróbstwem społeczeństwa. I znów jego kierownik lub leader, jak sam wolał być nazywany, będzie wrzeszczał i wygrażał każdemu napotkanemu na korytarzu pracownikowi. Pod tym względem przypominał ratlerka, który ujada głośno na każdego odbieranego przez jego pokrętny umysł, jako chociażby najmniejsze zagrożenie, a jednocześnie trzęsie się ze strachu o swoje stanowisko - kość, którą może odebrać mu każdy większy pies. A większych psów w korporacji jest sporo. Na samym szczycie króluje tłusty wieprz, tarzający się w pieniądzach tak wielkich, że zapomniał ile są warte. Lakier do paznokci kochanki wieprza kosztuje więcej niż miesięczne wynagrodzenie Marcina. Ale to Marcinowi obcinają wynagrodzenie z powodów oszczędności, żeby kochanka miała wystarczająco pieniędzy na lakier, botoks, liposukcję, ewentualnie możliwość wyhodowania młodszego klona.

Marcin zrobił sobie kawę i włączył poranne wiadomości, żeby zorientować się czy w czasie, gdy spał, nie wybuchła kolejna wojna czy epidemia, która położy kres tej chorobie, jaką jest ludzkość. Telewizor rzygnął nieprzerwanym potokiem wzajemnych oskarżeń wykrzykiwanych przez polityków, a każde z nich było bardziej absurdalne od poprzedniego. Marcin już wczoraj myślał, że świat polityki sięgnął dna, ale po nowej porcji bredni uznał, że pod dnem znajdują się jeszcze nieprzebrane pokłady cuchnącego szlamu. Zrobiło mu się od tego niedobrze i doszedł do wniosku, że nie przetknie nawet kęsa śniadania. Wrzody nie były zadowolone, ale niewiele miały do powiedzenia w tej sprawie.

W drodze do pracy patrzył w zalane deszczem okno autobusu i starał się odgrozić od współpasażerów niewidzialną ścianą. Nie chciał widzieć ani słyszeć staruszki, która wisiła nad dziewczyną, domagając się dostępu do wybranego przez siebie siedzenia. Nie było istotne, że przed chwilą kto inny ustąpił jej miejsca. Ono się nie liczyło, nie było właściwe, nie było „jej”. Mężczyzna obok cuchnął niemytym ciałem i dymem papierosowym najpodlejszego gatunku. Inna dziewczyna głośno rozmawiała przez telefon ze swoją koleżanką, a głupota wyływała z jej ust żrącymi strumieniami. Marcin miał ochotę wyskoczyć przez okno, ale na szczęście właśnie dotarli na „jego”

przystanek.

Na szczęście albo na nieszczęście, bo oto zbliżyły się wrota piekieł, a w nich stał pan Waldek w mundurze ochroniarza, celebrujący ten odprysk władzy, jaki przypadł mu w udziale.

- Przepustka! - ryczał w stronę potępieńców, którzy zmierzali na swoje miejsca codziennych tortur, pomimo że wszystko w nich krzyczało, by uciekali stąd jak najdalej. Ochroniarz znał ich wszystkich z widzenia, ale te poranne krzyki były dla niego jak dobra kawa, a poza tym gdyby nie one, to zanudziłby się na śmierć w tym wielkim, sterylnym westybulu.

Marcin pojechał na swoje piętro windą, upchany pomiędzy ludźmi usilnie starającymi się nie patrzeć na siebie nawzajem i udawać, że ich tu w ogóle nie ma. Och, ta żenująca chwila wymuszonej bliskości, gdy chudy chłopak z wylęknionymi oczyma z szóstego piętra, stoi obok wyprostowanej jak tyczka i zimnej jak lód menadżerki z dwunastego. Tylko w takiej sytuacji bezkarnie mógł dotykać rękawa jej płaszcza.

Marcin z ulgą opuścił sześcian, w którym cisza przyjmowała formę duszącej mgły, a każdy najchętniej założyłby maskę przeciwwgazową, by tylko móc ukryć się za jej groteskowymi kształtami. Czekał na niego komputer, złowrogo przyzywając do wypełniania bezsensownych zadań, dzięki którym możni tego świata mogli bogacić się i rządzić. Ratlerek też nie pozwolił o sobie zapomnieć. Tym razem przyczepił się do dziewczyny w boksie dwa rzędy dalej. Krzyczał na nią i wyzywał ją od nieudaczników, opóźnionych w rozwoju i bezużytecznych obiboków. Od razu widać było, że zaliczył wszystkie kursy nowoczesnego zarządzania personelem. Korespondencyjnie. Dziewczyna stała z opuszczoną głową, nic nie mówiąc, a jej ciałem wstrząsał szloch. W Marcinie krew się zagotowała, ale nic nie zrobił. Nikt nic nie zrobił. Nikt się za nią nie ujął. To przecież nie ich sprawa. Wreszcie ratlerek się wyszczekał i poszedł, a dziewczyna uciekła do toalety. Marcin poczuł, że jak zostanie tu chociaż jeszcze chwilę, to wybuchnie. Wyszedł. Poszedł na dach, gdzie pracownikom absolutnie nie było wolno wchodzić. Najprawdopodobniej dyrekcja obawiała się potencjalnych samobójców, którzy mogliby zagrozić dobrej renomie firmy. Stał w deszczu, pozwalając by zimne strumienie wody przesiąkały przez jego koszulę i spodnie, przynosząc ukojenie rozpalonemu ciału.

Jakże nienawdził tego świata. Nie tylko ludzi z autobusu, firmy czy z bloku, w którym mieszkał. Nienawdził tych, którzy zabijali innych na wojnach dla pieniędzy, wypaczonych ideologii lub dla przyjemności. Gwałcących kobiety, dzieci, siebie nawzajem. Ojców zabijających swoje dzieci i żony, matek zamrażających martwe niemowlęta w zamrażarkach. Nienawdził ludzi odpowiedzialnych za przemysłowy chów

zwierząt, które w cierpieniu i panicznym strachu pokonywały swoją drogę krzyżową do rzeźni. Stojących za wycinaniem lasów, niszczeniem łąk i rzek w imię ciągłego wzbogacania się anonimowych bogów tej planety. Właścicieli zakopujących swoje psy żywcem lub topiących koty w pralkach. Naukowców wszczepiających diody w mózgi zwierząt laboratoryjnych. I zwykłych ludzi - tych, którzy woleli nie wiedzieć, ile cierpienia i krzywdy kosztuje ich codzienne, komfortowe życie. Nie chciał żyć w takim świecie. Czuł, że dłużej już nie wytrzyma.

Staął na krawędzi dachu i patrzył w dół. Wystarczy jeden krok i to wszystko się skończy. Skończy, ale tylko dla niego. Przyroda nadal będzie niszczona, zwierzęta katowane, a słabsi bez skrępowań wykorzystywani przez silniejszych lub bogatszych. Ten krok, gdyby go zrobił, byłby najbardziej samolubnym czynem w całym jego dotychczasowym życiu. Postanowił przestać być egoistą. Nigdy więcej.

Z chwilą podjęcia tej decyzji, przyszło olśnienie i spokój. Kłębiące się w nim dziko uczucia zaznały ukojenia. Przepętniała go moc. Roześmiał się głośno i nie był to miły śmiech. Gdyby ktokolwiek go teraz usłyszał, niewątpliwie zacząłby się martwić czy to nie jest właśnie ten moment, gdy doprowadzony do ostateczności pracownik korporacji przychodzi do pracy z karabinem maszynowym. Myliłby się jednak. Marcin był człowiekiem o dużej inteligencji i bogatej wyobraźni - patrzył na pewne rzeczy z szerszej perspektywy. Można byłoby ją nawet ująć jako *perspektywę całościową*.

Ta chwila na dachu w ulewnym deszczu odmieniła życie Marcina, a pośrednio także całej ludzkości, chociaż ludzkość w chwili obecnej miała to gdzieś. A nie powinna. Powinna wystać za to swoje Szwadrony Śmierci, satelity wojskowe i lotnictwo wszystkich kontynentów, by pozbyć się nic nieznaczącej jednostki, która odkryła swoją misję i właśnie weszła na drogę bez powrotu.

Jednak zamiast tego system obronny ludzkości objawił się w formie Ratlerka, który zaczął obszczekiwać przemoczonego Marcina wychodzącego właśnie z windy. Zamilkł jednak, gdy natknął się na jego wzrok - zimny i jakiś taki odległy, wszechwiedzący. „Spierdalaj” usłyszał pierwszy raz od czasów szkolnych i nie wiedział, jak zareagować. Nabrał kilka razy powietrza, jak ryba, którą właśnie ma trafić apopleksja, ale siła wzroku podwładnego odebrała mu całą arogancję i chamstwo, stanowiące fundament jego wątpliwego autorytetu. Podkulił ogon i uciekł, udając, że właśnie zadzwonił do niego ktoś ważny.

Marcin usiadł przed komputerem i uznał, że musi się zastanowić nad powziętą decyzją. Wielkość i rozmach przedsięwzięcia zastrzykiwały na dokładne zaplanowanie. Nic

skomplikowanego, coś prostego, co raz uruchomione nie da się zatrzymać. Jednak diabeł siedzi w szczegółach, toteż je właśnie należy dogłębnie rozpatrzyć.

Przed wszystkim trzeba się dobrze przygotować, zebrać dane, przeanalizować, wyciągnąć wnioski. Na tym akurat dobrze się znał - lata prowadzenia wyliczeń, statystyk i przygotowywania raportów nie pójdą na marne. To była chyba jedyna rzecz, za jaką mógłby podziękować swojej firmie - dobrze go przygotowała do wykonania zadania.

Od czego zacząć? Zerknął na monitor i pomyślał o setkach tysięcy programów szpiegujących, które obserwują w sieci każde jego kliknięcie myszki. Wiedzą, co lubi jeść, z kim koresponduje i o czym, z jaką dziewczyną najchętniej uprawiałby seks i w jakiej pozycji. Nie, komputer i sieć może się przydać wyłącznie przy wstępnym, niewinnym gromadzeniu danych, gdy jego ruchy i historia przeglądarki u nikogo nie mogłaby wzbudzić podejrzeń. Zeszyt, długopis i biblioteka, to będą jego miecz, tarcza i bomba wodorowa. Notatek informacji zapisanych na kartce nie da się zhakować. Trzeba po nie przyjść. Osobiście. Najpierw jednak trzeba w ogóle o nich wiedzieć.

Po pracy poszedł prosto do lekarza, który za odpowiednią gratyfikację bez zbędnych słów wystawił mu miesięczne zwolnienie z pracy. Marcin uznał, że miesiąc powinien wystarczyć, by przeprowadzić plan do końca. Nie obchodziło go, co będzie później. Miał nadzieję, że żadnego później nie będzie. Tego wieczora usnął z uśmiechem na ustach i pierwszy raz od dawna nie śniły mu się koszmary.

Od czego zacząć? Przez chwilę patrzył na pustą kartkę leżącą przed nim na biurku, z zastanowieniem stukając w nią ołówkiem, a potem zaczął kreślić plan. Z pomocą przyszło mu wykształcenie, tak często wyśmiewane przez różnych ludzi, inteligentnych inaczej. „Biologia? A po co komu jeszcze jeden biolog? Laboratoria są już pozapełniane ludźmi mającymi lepsze plecy niż ty. Trzeba było studiować zarządzanie, bankowość, ekonomię, a nie jakąś biologię. Stracone lata”. W pewnej chwili sam zaczął myśleć o swoich wyborach w ten sposób - na co mi było kończyć trudne studia z wyróżnieniem, skoro jakiś buc po zaocznym zarządzaniu i dobrych układach w korporacji, może mnie rozstawiać po kątach? Po co mi to było? Po co te długie godziny spędzone w laboratoriach? Ale teraz wreszcie odkrył, po co i wywołało to na jego twarzy szeroki uśmiech.

Jeszcze za czasów studiów usłyszał od swojego promotora, w ramach anegdoty, o jego koledze, który przez przypadek odkrył możliwość pozbycia się rodzaju ludzkiego niemal bez jakiegokolwiek wpływu na otoczenie. To jakby wziąć gumkę do mazania i wymazać ludzkość z księgi życia. „Umysł biologa może być potężniejszą bronią niż

bomba wodorowa” - mawiał profesor Kulik, ale zaraz zastrzegł: - „Tylko wybitnego, ma się rozumieć. Inni mają umysły stępione jak nóż do obierania ziemniaków”. Marcin doszedł do wniosku, że pora odwiedzić dawnego opiekuna naukowego. Wyrwał z zeszytu zapisaną kartkę i kartkę, która była następna (w razie, gdyby komuś przyszła ochota sprawdzić domorosłymi metodami, co też wymyślił jego umysł o ostrości zużytego, kuchennego noża) i spalił w popielniczce. Nie musiał przechowywać zapisków - miał je w pamięci i to wystarczało. Pisał tylko dlatego, że łatwiej mu było w ten sposób zebrać myśli. Gdy proces myślenia dobiegał końca, notatki stawały się zbędne. A w tym przypadku, niebezpieczne.

Za część swoich oszczędności kupił armaniaka z dobrego rocznika i tak wyposażony udał się w odwiedzinach do profesora. Pukając do drzwi mieszkania, miał nadzieję, że stary biolog jeszcze żyje. Od lat nie utrzymywał z nim kontaktów. Zamierzał się przedstawić jako przedstawiciel wielkiego zachodniego koncernu farmaceutycznego, który w Polsce szuka interesujących tematów badań, z możliwością ich finansowania. 90 procent środowiska naukowego bez wahania łyka podobny haczyk, toteż miał nadzieję, że profesor Kulik nie okaże się wyjątkiem.

Nie wszystko jednak poszło tak, jak zaplanował. Drzwi otworzyła mu dojrzała kobieta w wieku jego matki.

- Słucham? Pan do kogo? - spytała.

- Czy zastałem profesora Kulika? Jestem jego dawnym studentem - dodał względem wyjaśnienia.

- Student taty? A to proszę wejść. - Zaprosiła go do środka. - Obawiam się jednak, że będzie pan rozczarowany wizytą.

Po tych dosyć enigmatycznych słowach wskazała drzwi do gabinetu profesora. Marcin wszedł z lekkim wahaniem i zamarł. Na wózku bez ruchu, otulony ciepłym kocem siedział profesor. Jego ręce sterczały bezsilnie jak stare, powykręcane gałązki. Byłby jednym smutnym bezruchem, gdyby nie bystre oczy świdrujące przybysza spod na pół opadłych powiek.

- Sam pan widzi - odezwała się córka profesora. - Ojciec miał wylew półtora roku temu i od tamtej pory jest sparaliżowany. Bardzo trudno się z nim porozumieć.

- No, to dupa blada - pomyślał Marcin. Zaraz jednak pocieszył się myślą: - Przynajmniej armaniak ocaleje.

Zwrócił się do sparaliżowanego starca:

- Szanowny panie profesorze - zaczął. - Nie wiem czy mnie pan pamięta, ale byłem kiedyś pana studentem. Dzięki pana pomocy udało mi się całkiem nieźle napisać

pracę magisterską. Pozwoliłem sobie zawracać panu głowę, ponieważ miałem nadzieję, że pomoże mi pan jeszcze raz. Otóż niedawno zostałem zatrudniony w dużym koncernie farmaceutycznym, a jako zadanie sprawdzające moją przydatność dla firmy, wyznaczono mi wyszukanie interesujących badań z dziedziny genetyki, które można byłoby kontynuować przy odpowiednim zastrzyku pieniędzy. Chodzi nam o takie badania, które mogłyby doprowadzić do przełomowych odkryć. - Teraz mówił zarówno do ojca, jak i do córki. - Jeszcze z czasów studiów pamiętam, że pan profesor miał szerokie kontakty i był na bieżąco z badaniami z różnych dziedzin. Pamiętam też, jak kiedyś wspominał o swoim przyjacielu-genetyku, który zamiast otrzymać dotację na jakieś niezwykle istotne badania, został w ministerstwie wyśmiany. Teraz być może dzięki naszym pieniądзом mógłby kontynuować te badania. Może pani wie, kogo profesor mógł mieć na myśli?

Kobieta pokręciła głową.

- Niestety, nie znam kolegów ojca. Niektórzy przychodzili czasami chwilę z nim posiedzieć i porozmawiać, ale zupełnie nie wiem czym się zajmowali. Przykro mi, ale nie pomogę panu.

- No, cóż, trudno. - Podniósł się do wyjścia. - Gdyby jednak pani coś sobie przypomniała, proszę do mnie zadzwonić. Bardzo mi na tym zależy. - Popatrzył jej głęboko w oczy, podając wizytówkę z fałszywym nazwiskiem.

Leżał w łóżku i patrzył w pogrążony w ciemności sufit. Zastanawiał się, co teraz? Co prawda miał plan awaryjny, ale plan ten wymagał większej ilości czasu, a przede wszystkim logicznego myślenia i wytrwałości. Stawka jednak była wysoka, co odpowiednio go motywowało do wysiłku - w końcu ratował świat. Od jutra całe dni będzie spędzał w czytelni uniwersytetu i w końcu natknie się na jakiś trop. Z tym postanowieniem usnął.

Po pięciu godzinach w czytelni Marcin poczuł, że jak zaraz nie wyjdzie na świeże powietrze, to wybuchnie. Już wszystko mu się myliło - organizmy haploidalne i diploidalne, chromatyny, molekuly NRA, fenomen Francis Crick i inne takie informacje, do przyswajania których jego mózg nie był przyzwyczajony. Sprawdziła się teza, że trybiki w mózgu rdzewieją, gdy nie używa się ich zbyt często. A on potrzebował swoich szarych komórek działających na najwyższych obrotach; osiągających niebotyczne wyżyny wydajności i geniuszu. Niestety, jego szare komórki wypięły się na niego i nawet doping kolejnym kubkiem kawy niewiele pomógł.

Poszedł na spacer do pobliskiego parku i siedząc na ławce w strugach deszczu, zastanawiał się czy jednak nie pójść na łatwiznę i nie strzelić sobie w łeb. Z tych ponurych myśli wyrwały go wibracje telefonu, w którym zapomniał włączyć dźwięk po wyjściu z budynku biblioteki. Dzwonił jakiś nieznany numer.

- Marcin, słucham? - Jego głosowi daleko było do entuzjazmu.

- To pan wczoraj przyszedł odwiedzić mojego tatę, profesora Kulika, prawda? - spytał znajomy kobiecego głos.

W ułamku sekundy całe zmęczenie z niego opadło, a jego szare komórki mogłyby biec w zawody z Usainem Boltem.

- Tak, to byłem ja. Przepraszam, że zająłem pani tyle czasu.

- Ależ nic nie szkodzi. To miłe widzieć, że dawni studenci ciągle pamiętają o ojcu. Myślę, że on też się ucieszył, bo wyglądał na ożywionego pańską wizytą.

- Miło mi to słyszeć.

- Dzwonię do pana w sprawie tego profesora genetyki, o którego pan wczoraj pytał. Zapytałam męża, który też pracuje na uczelni i od razu wiedział, o kogo chodzi. Prawdopodobnie chce pan zapoznać się z badaniami profesora...

Nagle w tle rozległy się dziwne, nieprzyjemne dźwięki.

- Tato, o co chodzi? - Marcin słyszał, jak córka zniecierpliwionym głosem zwraca się do profesora. - Nie charcz tak, bo się zaraz zadławisz i tylko będzie kłopot. Zaraz się tobą zajmę. - Marcin miał ochotę krzyknąć na nią, żeby w końcu wyjawiała mu upragnione nazwisko, ale utrzymał emocje na wodzy. Po chwili kobieta kontynuowała rozmowę. - Przepraszam, ale ojciec wydaje takie dziwne dźwięki, gdy jest z czegoś bardzo niezadowolony. Nie mam pojęcia, o co mu tym razem chodzi. (Tato, daj spokój). Powiem panu tylko to nazwisko i zaraz się nim zajmę. Proszę pytać na uczelni o profesora Zbigniewa Kolberga. Co prawda jest już na emeryturze, ale ciągle jeszcze wykłada.

Charkot w tle ustał, jak ręką odjął.

- Ech, z ojcem, to jak z dzieckiem - raz chce to, a raz co innego - westchnęła. - No, nic. Mam nadzieję, że chociaż trochę panu pomogłam.

- Nawet nie podejrzewa pani, jak bardzo. - Marcin uśmiechnął do siebie. - Jestem pani niewymownie wdzięczny, że zachciała pani do mnie zadzwonić z tą informacją. Być może przyczyniła się tym pani do uratowania świata.

- Och, niech pan nie żartuje ze starej kobiety. - Zdecydowanie jej to pochlebiło. - Po prostu cieszę się, że mogłam pomóc. Powodzenia!

- Dziękuję i życzę pani miłego dnia.

Gdy zakończył połączenie, poczuł się jakby nagle wyrosły mu skrzydła. Pierwszy ze schodów został pokonany - miał nazwisko. I to pomimo wyraźnego sprzeciwu Kulika. Stary może i był sparaliżowany, ale nie był głupi - domyślił się, że coś tu nie gra i wściekł się, gdy córka chciała zdradzić nazwisko genetyka. Hmm... To oznacza, że Marcin musi dopracować swoją historyjkę, jeżeli ma być wiarygodna. A teraz kierunek czytelnia i wyszukiwanie informacji o Kolbergu. Mógłby to co prawda zrobić z komputera w domu, ale wolał, żeby nikt go nie namierzył zbyt szybko.

Wejście na wykład Kolberga nie było trudne. Co prawda wykład był zamknięty, ale nikt nie dociekał, kim jest ten „obcy” siedzący z tyłu i z uwagą słuchający przynudzania Dziadka, jak powszechnie nazywano profesora. Marcin za to przyglądał się studentom i studentkom - znudzonym, w mniej lub bardziej otwarty sposób zajmujących się swoimi smartfonami zamiast skupiać się na wykładzie; mających miny cierpiętników zmuszonych do wielogodzinnego klęczenia na grochu. Nie był hipokrytą i doskonale pamiętał, że podczas studiów sam nie był lepszy - najpierw opuszczał wykłady, a potem świecił oczyma na egzaminach. Teraz jednak patrzył na to z innej perspektywy, dojrzałszej i irytowało go samo studiowanie dla studiowania, a nie dla rozwijania się i zdobywania wiedzy. Z drugiej strony, brak perspektyw na pracę w zawodzie po ukończeniu studiów, każdemu mógł podciąć skrzydła.

Po wykładzie poczekał aż wszyscy opuszczą salę. Podeszedł do profesora, przedstawił się i wyłuszczył swoją sprawę, zastrzegając, że koncern finansując badania, stałby się jednocześnie właścicielem potencjalnych odkryć czy patentów. To miało zapewnić większą wiarygodność jego historii i chyba częściowo spełniło swoje zadanie, bo powszechnie wiadomo było w branży, że konsorcja farmaceutyczne to sępy i szakale. Bardzo hojne sępy i szakale.

Pomimo to Kolberg był nieco podejrzliwy.

- Skąd pan w ogóle wie o moich badaniach? Nie opublikowałem nigdzie swoich wyników.

- O pana badaniach słyszałem od profesora Kulika kilka lat temu, gdy jeszcze byłem jego studentem. Przyznam, że zastanawiałem się, co też stało się z tymi pana badaniami, bo nigdzie nie natrafiłem na ich ślad, chociaż z grubsza znając ich zakres byłem pewien, że trafią do najbardziej znanych międzynarodowych periodyków. - Z rozmysłem łechtąłem próżność genetyka. - Ze szczątkowych informacji, jakie przekazał mi profesor Kulik wywnioskowałem, że pana projekt powinien zostać utajniony, dostać olbrzymią dotację, a pan posadę w tajnym centrum badawczym rządowym lub



zagranicznym.

Kolberg roześmiał się gorzko.

- Chyba za dużo się pan naoglądał filmów sensacyjnych. Mój projekt zamknięto, bo ktoś w ministerstwie doszedł do wniosku, że po co to komu, skoro nie ma z tego wymiernych korzyści, a ja tylko marnuję uczelniane pieniądze. Przy tym zabroniono mi opublikowania wyników tego, co już udało mi się odkryć. A szkoda, bo może dzięki nim udałoby się dojść do ciekawych odkryć w dziedzinie genetyki. - Westchnął. - Może w innym kraju sprawy potoczyłyby się tak, jak pan to przedstawił, ale to jest Polska - dyletanctwo, kołesiosstwo i nepotyzm na wyższych stanowiskach często zamyka drogę osobom, które patrzą dalej niż na czubek własnego nosa.

Marcin niemal widział rozgoryczenie i poczucie porażki otaczające naukowca gęstą aurą.

- Ja osobiście uważam, że pańskie badania mogą w znacznym stopniu wpłynąć na losy ludzkości - oznajmił. - Natomiast koncern, dla którego pracuję nie tylko nie blokuje publikowania wyników naukowych, ale wręcz zachęca swoich pracowników do dzielenia się swoimi odkryciami. Oczywiście, nie ma w tym odrobiny altruizmu - posiadanie w laboratoriach wybitnych osobistości przyciąga innych obiecujących naukowców, którzy będą w pocie czoła pracować na chwałę koncernu.

- Tak, to często się sprawdza - przytaknął Kolberg. - A tak hipotetycznie, gdybym się zgodził, to z kim miałbym pracować?

- To zależałoby od pana. Pan byłby kierownikiem projektu i to pan skompletowałby zespół, z którym najlepiej i najefektywniej by się panu pracowało. - Marchewka, która wabił Kolberga urosła do niebotycznych rozmiarów. Właśnie proponował zapomnianemu i w pewien sposób zdyskredytowanemu „pięknemu umysłowi” spełnienie marzeń każdego naukowca - szefowanie własnemu projektowi, z wielką pulą pieniędzy do wykorzystania i z wybranym przez siebie zespołem. Był niemal pewien, że na horyzoncie wyobraźni staruszka właśnie zamajaczyła nagroda Nobla.

- No, dobrze, zastanowię się - westchnął z rezygnacją Kolberg. - To jak miałyby ta nasza współpraca wyglądać?

- Najpierw musiałbym się wstępnie zaznajomić z pańskimi badaniami, by ocenić czy faktycznie kwalifikują się do naszego programu.

- A czy posiada pan odpowiednie kwalifikacje, by to ocenić? - z powątpiewaniem spytał Kolberg.

- Przeze mnie jest dokonywana zaledwie wstępna weryfikacja, a jeżeli uznam, że projekt wygląda interesująco, wysyłam go do grupy specjalistów, którzy przyjrzą mu się

szczegółowo i wystawią własną ocenę - wyjaśnił Marcin.

- No, tak, to wygląda sensownie - zgodził się profesor. - Proszę przyjść do mnie jutro o 11.30, to przedstawię panu badania.

Marcin wyszedł z uczelni zadowolony, zostawiając Kolberga z wizytówką w ręce. Zastanawiał się czy staruszek wykaże się rozsądkiem na tyle, żeby zadzwonić do koncernu i go sprawdzić, czy też otwierające się przed nim możliwości zupełnie go ogłupią. Na pozostawionej wizytówce rzeczywiście było nazwisko prawdziwego pracownika konsorcjum, który zajmował się wyszukiwaniem potencjalnie interesujących badań. Marcin znał je doskonale. Wiedział nawet ile delikwent zarabia i jakie są jego wydatki służbowe. Wybrał ten a nie inny koncern farmaceutyczny, ponieważ był klientem jego firmy i Marcin miał pełen wgląd w księgowość jego polskiego oddziału. Toteż jeżeli Kolberg zadzwoni do siedziby koncernu i zapyta o takiego pracownika, uzyska odpowiedź twierdzącą. Gorzej, gdy będzie chciał z nim porozmawiać - wtedy oszustwo mogłoby się wydać. Liczył jednak na to, że staruszek nie będzie chciał się przyznać do braku zaufania wobec swojego potencjalnego dobrodzieja.

Marcin stanął w łazience przed lustrem i patrzył swojemu odbiciu prosto w oczy.

- Czy jestem szaleńcem? - spytał sam siebie. - Czy jestem szalony, chcąc uratować świat przed istotami, takimi jak ja?

A potem pomyślał o arogancji ludzkiej rasy, która uważała, że jest błogosławieństwem dla świata, podczas gdy w rzeczywistości była najgorsza plagą - niszczyła wszystko dookoła, a w tym samą siebie. Ludzkość żyjąca złudzeniami o własnej wielkości, o pochodzeniu od Boga, co miało legitymizować jej zachłanność w podporządkowywaniu sobie natury. Cywilizacja - usankcjonowane barbarzyństwo wobec wszystkiego, co nie było człowiekiem, a nawet wobec innych ludzi - ras, narodów, płci. W tej chwili na świecie nie ma nic prawdziwie świętego. Poza pieniędzmi.

- Nie, to nie ja jestem szalony - uznał. - To ludzkość oszalała.

Nazajutrz Kolberg czekał na niego w swoim laboratorium.

- Proszę, tu jest opis projektu i wyników przygotowany kilka lat temu dla ministerstwa. - Bez zbędnych wstępów wręczył Marcinowi plik papierów. - Gdy pan się z tym zapozna, wprowadzę pana w szczegóły. Teraz pozwoli pan, że zajmę się poprawianiem kolokwiów.

Przez blisko godzinę Marcin szczegółowo studiował dokumentację. Gdy skończył, zamyślił się głęboko. Za chwilę dotrze do tak zwanego „punktu bez powrotu”, gdy go

przekroczy, nic już nie będzie takie samo. Okaze się jednocześnie najwyższym katem i największym wybawicielem w dziejach Ziemi. Czy ma na tyle siły, żeby się tego podjąć? Czy wystarczy mu determinacji?

- Długo pan myśli - stwierdził Kolberg, który już od jakiegoś czasu przyglądał się wystannikowi przyszłej sławy i dobrobytu zmarłemu w bezruchu. - Jakież pytania?

Marcin przez chwilę zbierał myśli po tak niespodziewanym przywołaniu go do rzeczywistości.

- Przyznaję, że pańskie badania wywarły na mnie olbrzymie wrażenie. - To akurat było zgodne z prawdą. - Zastanawiam się, dlaczego nie ma pan osobistej ochrony czy chociażby czipa monitorującego pana bezpieczeństwo. Gdyby jakiś terrorysta pana porwał i wykorzystał pana wiedzę, to mogłoby to się źle skończyć dla wielu ludzi.

- Ech... - Profesor machnął ręką. - Ówczesny rząd uznał, że największe bezpieczeństwo zapewni mi właśnie ludzka niewiedza. Dlatego o moich badaniach wiedziało zaledwie kilka osób. Toteż zdziwiło mnie, że pan się o nich dowiedział.

- To był czysty przypadek. Pamiętam, jak bardzo zbulwersowany był profesor Kulik, gdy dowiedział się jak potraktowano pana i pańskie badania. - W rzeczywistości Kulik ucieszył się z niepowodzenia kolegi. - Tak utkwilo mi to w pamięci, że gdy po latach otrzymałem szansę, by to naprawić, postanowiłem ją wykorzystać. Przyznam się panu, że gdzieś tam głęboko jestem w pewien sposób idealistą - gdyby nie ograniczone horyzonty polityków, już dawno znaleźlibyśmy lekarstwa na wszystkie choroby i na bolączki cywilizacji. - Marcin wzruszył ramionami. - Ale czego można wymagać od osób, które nie patrzą dalej niż do końca swojej kadencji?

- Trudno się z panem nie zgodzić. Podoba mi się pana zaangażowanie i ten błysk w oku, gdy mówi pan o badaniach. Cieszę się, że docenia pan pracę naszego zespołu. - Kolberg na swój sposób zinterpretował zachowanie Marcina. Czasami pragnienie sukcesu przesłania zdrowy rozsądek, zwłaszcza osobom, które przez większość swojego życia czuły się niedoceniane. Ludzkie ego przyczyniło się do śmierci większej ilości ludzi niż wszystkie epidemie świata razem wzięte.

- Wracając do badań, proszę mi jednak wyjaśnić, w jaki sposób nie doszło do tej pory do wielkiej tragedii, skoro według pańskich badań czynniki mogące tak negatywnie wpłynąć na nasz genotyp są dostępne w naturze? - To była pierwsza myśl, która przyszła Marcinowi do głowy, gdy czytał dokumentację badawczą. - Wystarczyłoby w odpowiedni sposób połączyć wszystkie składniki, by uzyskać wirus mający właściwości mutagenne ludzkiej części genotypu.

Kolberg uśmiechnął się z zadowoleniem. Dobrze czuł się w roli profesora, toteż

właśnie dlatego, pomimo emerytury, wciąż wykładał.

- Jak zapewne pan zauważył, składowe procesy pochodzą z różnych szerokości geograficznych, czasami bardzo od siebie odległych, i stosunkowo trudno dostępnych - rozpoczął swoje wyjaśnienia. - Na przykład te alkaloidy - wskazał na jeden z punktów na liście składników - pochodzą z porostu występującego w specyficznych miejscach na Islandii, gdzie woda z gejzerów ma ściśle określony skład chemiczny. A ten - wskazał inną egzotyczną nazwę wśród składników - wchodzi w skład chemiczny minerału znajdującego się we wnętrzu wulkanu na jednej z wysp Pacyfiku. Sam pan widzi, że połączenie tych składników w sposób naturalny jest niemal niemożliwe. W dodatku wszystkie składowe, odpowiednio spreparowane, musiałyby połączyć się z wirusem o wysokiej zaraźliwości, jak chociażby z SARS lub któraś z odmian grypy, by wirus w sposób niekontrolowany mógł się rozprzestrzenić. Z drugiej strony, by zaatakować tę niewielką sekwencję ludzkiego genomu odróżniającą ludzi od zwierząt, ludzki fragment genomu musiałby zostać zmieniony w wyniku wariacji fenotypowej, ponieważ „czysty” ludzki genom jest odporny na tę mutację.

- W takim razie, skoro ludzki genom jest w rzeczywistości odporny, to tylko specyficzne jednostki byłyby narażone na mutację, zachorowanie i śmierć. - Marcin poważnie się zaniepokoił.

- Ja panu tylko wyjaśniam, dlaczego do tej pory nie doszło do wymarcia ludzkości. - Kolberg nie lubił, gdy mu przerywano. - W chwili obecnej w wyniku powstania nowych czynników - rozwoju cywilizacji, możliwości masowego przemieszczania się na wielkie odległości przy pomocy samolotów, mieszania się produktów pochodzących z różnych części świata nawet w jednym hipermarkecie czy mody na ekstremalne wycieczki w najbardziej niedostępne regiony globu, pierwiastki pochodzące z różnych części świata swobodnie mieszają się ze sobą. Na przykład taki himalaista przywiezie na butach zarodniki roślin występujących tylko określonej wysokości, w określonym miejscu. Jeżeli takie zarodniki trafią na sprzyjające warunki, w wyniku wpływu nowego środowiska ulegną mutacji. Ale wróćmy do naszego zagadnienia. Samo zmutowanie wirusa grypy poprzez odpowiednie czynniki nic by nie dało przy „czystym” genomie człowieka. Jednak w wyniku zanieczyszczenia środowiska przez przemysł we współczesnym świecie możemy znaleźć zaledwie jednostki o niezmienionym genotypie. I to najprawdopodobniej wśród plemion żyjących z dala od cywilizacji.

- Z pana słów, profesorze, wynika, że w wyniku gwałtownego rozwoju cywilizacyjnego ludzkość kręci sobie sznur na własną szyję - podsumował w zamyśleniu Marcin.

- Owszem - zgodził się Kolberg. - Dlatego moim zdaniem tak ważny jest powrót do moich badań. To tylko kwestia czasu, gdy wybuchnie epidemia nieporównywalnie bardziej śmiertelna niż dżuma czy ebola. Do tego czasu musimy znaleźć lekarstwo lub szczepionkę. Pański koncern posiadający monopol na takie lekarstwo, będzie miał władzę nieograniczoną.

„Ty hieno” - pomyślał Marcin, ale głośno wyraził wątpliwość: - Rozumiem pański punkt widzenia, ale jak do tej pory to tylko czysto teoretyczne rozważania. To symulacja, która może mieć pokrycie w rzeczywistości, ale wcale nie musi. Może się okazać, że w swoich badaniach nie wzięliście pod uwagę jakiegoś drobnego elementu, który niweczy pana teorię. Najpierw musiałbym przygotować próbę laboratoryjną i potwierdzić rezultaty pana badań, żeby rozpocząć dalsze prace. To, niestety, zabierze sporo czasu.

Marcin domyślał się, że dla Kolberga czas gra rolę - mógłby nie dożyć rozpoczęcia badań, a wtedy ktoś inny mógłby sobie uzurpować prawo do przyszłego Nobla.

I nie pomylił się.

- A co, gdyby takie potwierdzenia już istniały? - zapytał profesor z tajemniczym uśmiechem.

- Co pan ma na myśli? - Marcin wysilił się, żeby w jego głosie słychać było niedowierzanie. - Czyżbyście stworzyli takiego wirusa?

- Nie tylko stworzyliśmy. - Kolberg wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. - My go przetestowaliśmy.

Marcin nie mógł opanować szerokiego uśmiechu, który wyłynął mu na twarz.

- Obawiałem się, że mnie pan potępi - przyznał Kolberg - ale cieszę się, że należy pan do ludzi dostrzegających nadrzędną rolę nauki w stosunku do etyki. W naszych laboratoriach etyka zwykłych ludzi nie ma zastosowania. My, rozszyfrowując tajemnice świata, nawiązujemy dialog z Bogiem. Mozolnie staramy się przybliżyć do poznania Go i zrozumienia.

„I sami chcecie zostać Bogami, ale na razie jesteście tylko bożkami z aspiracjami do władzy nad światem”. W Marcinie zakipiła wściekłość, jak zawsze gdy spotykał się z „boskimi” wyjaśnieniami dla dokonywanego barbarzyństwa czy dla zaspokajania własnych ambicji. Albo jednego i drugiego razem. Teraz jednak nie mógł pozwolić sobie na okazanie nawet najmniejszego cienia wątpliwości czy pogardy. Znajdował się w niezwykle delikatnym momencie, który musiał rozegrać jak najlepiej. Od tego zależała przyszłość Ziemi.

- Czy ma pan materiał filmowy z testów? - spytał.

- Tak. Jest ukryty w sejfie za panem - oświadczył z satysfakcją Kolberg.

- Wspaniale! To zdecydowanie przyspieszy rozpoczęcie prac. A czy zniszczyliście wszystkie próbki wirusa? Jeżeli, przez przypadek oczywiście, ocalałaby jakaś próbka, to nie wykluczone, że prace moglibyśmy rozpocząć już w przyszłym tygodniu. Z panem jako szefem projektu, oczywiście. - Kusił Marcin.

Widział, jak na twarzy starca zdrowy rozsądek walczył z pożądaniem sławy i niezależnie od wyniku tego starcia już wiedział, że nie wszystkie próbki zostały zniszczone. Nie zawaha się wyciągnąć z Kolberga informacji, gdzie znajduje się wirus, niezależnie od środków, jakie przyjdzie mu zastosować.

Nie musiał jednak posuwać się do żadnych drastycznych metod, ponieważ to nie zdrowy rozsądek zwyciężył u profesora. Musiał widocznie dojść do wniosku, że to jego ostatnia szansa w życiu, by unieśmiertelnić swoje nazwisko, bo postanowił wszystko postawić na jedną kartę.

- Nie, została jeszcze jednak próbka. Pokazać panu?

Marcinowi z wrażenia zaschło w gardle. Skinął tylko głową.

Kolberg przeciągnął kartą przez czytnik, wbił kod i otworzył ciężkie metalowe drzwi laboratoryjnego sejfu.

Marcinowi opadły ręce. Przygotowany był na co najmniej skanowanie odcisków palców, siatkówki oka albo bardziej zaawansowanych metod zabezpieczeń, a tu tylko karta i kod. Ot, polski sposób myślenia - przecież i tak nic się nie stanie, to po co niepotrzebnie pakować pieniądze w dodatkowe zabezpieczenia? Lepiej podnieść wynagrodzenie zasłużonej kadrze naukowej albo kupić nowy sprzęt laboratoryjny. Na więcej nie wystarczy pieniędzy z budżetu uczelni. W tej chwili Marcin błogostawił fakt niedoceniań i niezachowywania procedur bezpieczeństwa przez personel uniwersytecki. Dzięki temu jego plan miał szansę się powieść.

Profesor po chwili wrócił z pendrivem i hermetycznie zamkniętym próbnikiem. Położył przyniesione przedmioty na stoliku przed Marcinem, któremu oczy zaokrągliły się z zaskoczenia.

- I pan tak tego wirusa, który w kilka dni może zgładzić ludzkość, trzyma w zwykłym, niezabezpieczonym próbniku?! - Nie wytrzymał i zerwał się na równe nogi. - Przecież to skrajnie nieodpowiedzialne!

Kolberg roześmiał się.

- Pan wybaczy, ale ciekawy byłem pana reakcji. Gdyby miał pan niejasne pobudki, raczej by się pan ucieszył z łatwego dostępu, zamiast na mnie krzyczeć. Zaraz przyniosę właściwy próbnik, a niech pan w tym czasie przejrzy zapis na pendrive. Proszę

skorzystać z mojego laptopa - wskazał komputer na swoim biurku i ponownie zniknął w sejfie.

Marcina oblały zimne poty. A co jeżeli staruch go przejrzał? A co jeżeli domyślił się wszystkiego i zaraz wpadnie tutaj policja i go aresztuje? Niemal siłą powstrzymał się, żeby nie uciec z laboratorium. Zamiast tego trzęsącymi się rękoma włożył pendrive do gniazda i włączył przyśpieszone odtwarzanie. Po kilku minutach już wiedział, co takiego stało się ze wspomnianym wcześniej zespołem profesora i na kim został przetestowany wirus.

- To był przypadek - usłyszał zza pleców cichy głos profesora. - Zwykła nieostrożność jednego z moich asystentów. Laboratorium zostało odcięte od świata, a moi ludzie umierali kilka dni. Wszystko zostało zarejestrowane, bo w laboratorium był monitoring. Ja w tym czasie byłem na spotkaniu w ministerstwie, żeby zdobyć fundusze. Gdyby nie to, byłbym tam z nimi. - Westchnął ciężko. - Wszystko zostało zatuszowane, bo rząd bał się tego, co mogłoby się stać, gdyby informacja o badaniach nad niebezpiecznym wirusem wyciekła do mediów. Mnie odebrano wszystkie granty i zesłano do uczenia leniwych studentów. Śmierć moich ludzi poszła na marne. Mam nadzieję, że może chociaż dzięki pańskiemu koncernowi ludzkość na niej skorzysta.

- To jest wstrząsające - powiedział Marcin po chwili milczenia, wskazując na laptop. - W naszym laboratorium czasami też zdarzają się wypadki, ale mamy tak restrykcyjne zabezpieczenia i procedury, że w całej historii naszych laboratoriów zmarło w wyniku prowadzonych badań zaledwie trzy osoby. I to przed rokiem 2000. Od tamtej pory nie odnotowaliśmy przypadków śmiertelnych.

- Może więc u was to - podniósł do góry rękę trzymającą hermetyczny pojemnik z pancernego szkła zabezpieczony zamkami elektronicznymi - będzie w miarę bezpieczne.

Położył pojemnik na stole. Marcin czuł, jak gdyby zamknięty w środku wirus typtał na niego złowrogo zza szklanej ścianki. Otrząsnął się z tego wrażenia.

- Panie profesorze, w poniedziałek o godzinie 9.30 podjedzie po pana tutaj do laboratorium samochód wraz z obstawą. Proszę zabrać ze sobą dokumentację, pendrive z zapisem wypadku i pojemnik z wirusem. Uważam, że pan i pańskie badania są dla naszego koncernu niezwykle ważne i sądzę, że zarówno moi koledzy, jak i zarząd podzielą moje zdanie. W piątek zaprezentuję wstępny opis pana dokonań na spotkaniu rady do spraw planowania badań i zaraz po niej do pana zadzwonię z wynikami. Uważam, że to będzie tylko formalność.

- Bardzo miło mi to słyszeć - uśmiechnął się profesor. - Cieszę się, że nie zraziły pana sprawy związane z wypadkiem. Wypadałoby uczcić nasze spotkanie, ale niestety,

nie mam czym.

- W takim razie, jeżeli pan pozwoli, to skorzystamy z moich zasobów - uśmiechnął się Marcin, wyciągając z torby armaniaka. - Miałem nadzieję, że dojdziemy do porozumienia i dlatego też przyniosłem coś, czym można byłoby je przypieczerować.

Kolberg szybko znalazł czyste menzurki, do których Marcin rozlał alkohol. Jego bursztynowa barwa odcinała się wyraźnie od bieli laboratoryjnego stołu i ścian, a zapach wabił obietnicą uczty dla podniebienia. Profesor spróbował alkoholu i z uznaniem pokiwał głową.

- Zastanawia mnie jeszcze jedna rzecz - zaczął Marcin. - Wirus podcina się pod ludzki genom, ale co z szympanсами? Mamy wspólne ponad dziewięćdziesiąt osiem procent wspólnego genomu. Czy to oznacza, że szympanсы także chorują i umierają?

- Poruszył pan ciekawą kwestię. - Kolberg odstawił pustą menzurkę, którą Marcin skwapliwie napełnił. - Testowaliśmy wirusa na szympanсах i owszem, chorowały, ale nie bardziej niż ludzie zarażeni zwykłą grypą. Po kilku dniach były całkowicie zdrowe. To dało nam podstawy, by sądzić, że wirus „podczepia się” pod te niecałe dwa procenty stricte ludzkiego genomu. Natura zaplanowała Apokalipsę wyłącznie dla ludzi. Mając do dyspozycji sprzęt i pieniądze, postaram się... temu...

Głowa bezwładnie opadła mu na piersi.

- Nie, niczemu nie zapobiegiesz. - Marcin patrzył na śpiącego starca z mściwą satysfakcją. - A wręcz się do tego przyczynisz.

Odstawił na stolik swoją menzurkę z nienaruszoną zawartością. Armaniak zaprawiony pokąsną ilością „tabletek gwałtu” spełnił swoją powinność. Marcin ostrożnie umył menzurki i odstawił je na suszarkę, spakował butelkę armaniaka, dokumentację badawczą i pendrive. Wziął do ręki pojemnik z wirusem i przyjrzał mu się uważnie. Ostatnio oglądał w internecie kilka modeli pojemników zabezpieczających, bo chciał być dobrze przygotowany do akcji. Na szczęście trzymany przez niego pojemnik był jednym z tych, z których specyfikacją się zapoznał, toteż bez wahania przyłożył do czytników po obu stronach szklanego cylindra oba kciuki profesora, a potem wprowadził ciąg cyfr. Kod okazał się prawidłowy, w co Marcin ani chwili nie wątpił. Od momentu, gdy na nagraniu z wypadku w laboratorium zobaczył datę, wiedział, że to właśnie 04042015 jest kluczem.

Wyjął próbnik i włożył za pasek spodni - gdyby musiał uciekać, wołał mieć go przy sobie. Pusty pojemnik ukrył w jednej z szafek - nie chciał, żeby osoba, która rano znajdzie profesora, niepotrzebnie zaczęła się zastanawiać, co też ten pojemnik mógł zawierać. Pozostało mu już tylko jedno. Starannie złożył jeden z fartuchów



laboratoryjnych i delikatnie, niemal z czułością przytknął go do twarzy pogrążonego w śnie starca. Nie miał wyrzutów sumienia. Kolberg w tym momencie może i wyglądał niewinnie i bezbronne, ale pomimo straszliwej śmierci swoich ludzi, nie zarzucił pragnienia kontynuowania badań nad wirusem, który się do niej przyczynił. Wciąż miał nadzieję, że nadejdzie chwila jego chwały. Czy w innym przypadku zachowałby pojemnik z wirusem? W sercu Marcina nie było nawet odrobiny litości, gdy patrzył na Kolberga wydającego swoje ostatnie tchnienie.

Prosto z laboratorium pojechał do centrum handlowego, gdzie siedząc na jednej z ławek, odkręcił próbnik i głęboko wciągnął w płuca jego zawartość. To on będzie nośnikiem epidemii - odkupi grzechy ludzkości swoim poświęceniem. Umrze pierwszy, ale zaraz w jego ślady pójdą miliardy. Niemal fizycznie poczuł, jak po jego ciele rozchodzi się choroba. Teraz już nie ma odwrotu. Ktoś to musiał zrobić, bo w innym przypadku ludzkość pociągnęłaby za sobą w przepaść całe życie na ziemi. Cieszył się, że to on mógł zostać Odkupicielem. Wreszcie równowaga na świecie zostanie przywrócona. Łzy ulgi pociekły mu z oczu i nie zwracał uwagi na to, że ludzie pokazują go sobie palcami i odwracają oczy z zażenowaniem.

Wziął się w garść. To jeszcze nie koniec. Czeka go jeszcze dużo pracy. Wyrzucił pusty pojemnik do kosza na śmieci i taksówką pojechał na lotnisko. Kilka godzin później spacerował po hali lotniska w Monachium w oczekiwaniu na samolot do Nowego Jorku. Miał dwa, może trzy dni zanim objawy zaczną być widoczne, a przed sobą Los Angeles, Singapur, Tokio, Szanghaj, Kapsztad, Jaunde, Rio de Janeiro. Jedno z tych miast będzie jego grobem. Za przeloty nieświadomie płacił olbrzymi międzynarodowy koncern farmaceutyczny, którego Marcin był w innym życiu księgowym. W takiej sytuacji to nie sztuka przelać stosunkowo niewielką kwotę na swoje konto.

Lecąc nad Atlantykiem, Marcin napisał swoistą odezwę do ludzi. Prosił ich, by wypuścili swoje zwierzęta lub by uchylili drzwi lub okna w mieszkaniach czy domach, gdy poczują się źle. Nie ma potrzeby, żeby ich pupile umierali wraz z nimi. To samo tyczyło się olbrzymich farm hodowlanych czy małych gospodarstw. Podejrzewał, że większość ludzkości zignoruje jego wezwanie, jednak nawet jeżeli niewielka część go posłucha, to przynajmniej niektóre zwierzęta ocaleją. Wrzucił na serwer film z pendrive Kolberga. Niech ludzkość wie, komu zawdzięcza zagładę. Zarówno odezwa, jak i film miały zostać opublikowane za kilka dni - najprawdopodobniej już po jego śmierci.

Zamknął swój laptop i rozparł się wygodnie w fotelu. Zrobił wszystko, co tylko mógł. Teraz pozostawało tylko czekać. Chciało mu się pić, bo gorączka już dawała o sobie znać. Zamówił kolejną szklankę wody, którą przyniosła profesjonalnie

uśmiechnięta stewardessa. Kaszlnął w jej kierunku. Niech przekazuje „Dobrą Nowinę” dalej.